

JAROSŁAW MOLENDĄ

CZTEREJ PANCERNI

i pisarz

Opowieść o Januszu
Przymanowskim,
który „Rudym 102”
zawojował całą Polskę



LIRA
WYDAWNICTWO

**CZTEREJ
PANCERNI**
i pisarz

JAROSŁAW MOLEND

**CZTEREJ
PANCERNI
i pisarz**

LIRA
WYDAWNICTWO

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2025
© Copyright by Jarosław Molenda, 2025

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora
Redakcja: Dagmara Ślęk-Paw
Korekta: Małgorzata Piotrowicz
Skład: Igor Nowaczyk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik-Zienkiewicz
Zdjęcia na okładce i źródła ilustracji:
© TVP/PAP- Zygmunt Januszewski, © naiauss,
© flas100, © vkulieva/123RF, © artelliii7/Pixabay
Zdjęcie autora: © Karolina Gajcy
Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz
Redakcja techniczna: Igor Nowaczyk




Producenci wydawniczy:
Sylwia Reguła, Magdalena Wójcik-Zienkiewicz, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

L  R A
W Y D A W N I C T W O

Lira Publishing Sp. z o.o.
al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa
www.wydawnictwolira.pl

Wydanie pierwsze
Warszawa 2025
ISBN: 978-83-68101-98-0

Wydawnictwa Lira szukaj też na:    

Druk i oprawa: Abedik SA

*Literatura powinna stać się częścią
ogólnej sprawy proletariackiej,
„trybem i śrubką” jednego,
jednolitego, wielkiego mechanizmu
socjaldemokratycznego poruszanego
przez całą świadomą awangardę
całej klasy robotniczej*

Włodzimierz Ilicz Lenin, *Lenin o literaturze*

Wstęp



zy jest choć jeden Polak 40+, który nie oglądałby przynajmniej odcinka serialu *Czterej pancerni i pies*? Ten popularny cykl zatrzymywał przed ekranami kilka pokoleń rodaków. Z kinematografią tak już jest, że niektóre obrazy stają się legendami i na trwałe zapisują się w historii. Nie starzeją się pomimo upływu czasu i wciąż wzbudzają emocje. Prawdopodobnie kluczem do sukcesu jest właściwe odczytanie ludzkich przeżyć i zaszyfrowanie ich w odpowiedniej symbolice¹.

Bez wątpienia dokonał tego Janusz Przymanowski, tworząc opowieść ponadczasową, mówiącą o braterstwie narodów słowiańskich i wciąż budzącą zaciekawienie oraz sympatię widzów. Książka Przymanowskiego to fenomen i to nie tyle w sensie literackim, ile socjologicznym i kulturowym.

Na naszym rynku wydawniczym pojawia się każdego roku wiele bestsellerów, można przytoczyć szereg tytułów, które zdobyły sobie rzesze odbiorców, ale powodzenie *Czterech pancernych i psa* pobiło wszelkie rekordy. Fakt ten zdumiewał i budził emocje, ba, prowokuje do dzisiaj do najróżniejszych refleksji. Toż to wymarzony temat do pracy naukowej, nie tylko z dziedziny literaturoznawstwa, lecz także socjologii kultury, a nawet pedagogiki.



Fot. 1. Nawet sam autor nie spodziewał się takiego sukcesu swojej powieści

„Jest kilka scen z cywilnymi statystami — mówił w jednym z wywiadów Marek Łazarz, który poświęcił wiele czasu, aby zrekonstruować dzieje serialu — które były kręcone w Żaganiu. Jest choćby takie ujęcie, gdy załoga «Rudego» wjeżdża do wyzwolonej wioski, tłum oblega czołg, biegną dzieci z kwiatami. Tam zagrali mieszkańcy Żagania i Olszyńca — pobliskiej wsi. Ci ludzie do dziś się rozpoznają w tym filmie. To ciekawe, bo podczas uroczystości rodzinnych, jak imieniny dziadka czy Boże Narodzenie, oni sobie puszczaają ten jeden odcinek, bo tam w scenach pojawiają się niezyczący już od dawna dziadek i babcia. To się stało czymś

w rodzaju tradycji rodzinnej, swego rodzaju żywym albumem ze zdjęciami”².

Pierwsze wydanie książki ukazało się w nakładzie dwudziestu tysięcy. Po trzech latach od emisji serialu liczba sprzedanych egzemplarzy wzrosła prawie piętnastokrotnie! Skąd ten sukces książki, w której można znaleźć sporo naiwności, wręcz komiksowych uproszczeń? Cóż, autor stworzył bohaterów, którzy odpowiadali „zapotrzebowaniu społecznemu”. Realizatorzy zdołali wydobyć walory z powieści i przenieść je na ekran, natomiast aktorzy idealnie wcieliili się w grane postaci. Po prostu wszystko zagrało.

Oto wspomnienia Henryka Gołębiewskiego (tak, tak, tego Gołębiewskiego, niezapomnianego bohatera filmów *Wakacje z duchami*, *Podróż za jeden uśmiech* czy *Stawiam na Tolka Banana*): „Jak szli «Pancerni», to podwórka pustoszały w mgnieniu oka. Tata pracował w telewizji, wykonywał jakieś roboty malarskie i dostał w nagrodę odbiornik «Wisła». To był pierwszy telewizor na osiedlu, jeszcze z podnoszoną klapą, różnymi gałeczkami... Na podłodze siedziało pół podwórka. Gdzie się dało... Niektórzy pod stołem, bo brakowało miejsca. I oglądaliśmy”³.

Serial *Czterej pancerni i pies* wyprodukowano w latach 1966–1970. Od zakończenia drugiej wojny światowej minęło niewiele ponad dwadzieścia lat. Dzieci i młodzież wciąż jeszcze żyły w jej mroku, gdyż było to najważniejsze doświadczenie rodziców, nauczycieli i wychowawców, o którym ciągle się wspominało. Wojenne pokolenie

nadawało ton życiu społecznemu i kulturalnemu. Dziecięce zabawy w wojnę były na porządku dziennym⁴.

„Należę do pokolenia — potwierdzał Marcin Hlebionek, profesor Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika — które wychowało się na tytułowym serialu. Bez Internetu, gier komputerowych, chińskich zabawek; każdy kij mógł zamienić się w pistolet lub karabin. Gruzowiska wielkiej płyty na placu budowy osiedla, na którym wówczas mieszkałem, a jeszcze lepiej porzucona w tym otoczeniu metalowa obudowa pralki automatycznej (z otworem doskonale — w ówczesnym mniemaniu — imitującym włącz do czołgu) w połączeniu z wyszarpaną z gruzów rurą, dawały takie same możliwości zabawy «w czołg», jak dzisiaj *War of Tanks*, jeśli nie lepsze”⁵.

Ewelina Kitlińska swój esej *Chciałam być Szarikiem* zaczyna od konstatacji, że w latach siedemdziesiątych na niemal każdym podwórku przed blokiem było słycać rytmiczne „ta-ta-ta-ta”. Ta onomatopeja wydobywająca się z ust umorusanych dzieciaków była tłem do potyczek z patykami w rękach, czołgania się lub ukrywania się za murkami lub drzewami tylko po to, żeby za moment znienacka wyskoczyć i naśladować dźwięk karabinu maszynowego, celować badyłem we wroga. Przeciwnicy padali zabici, po czym po chwili podnosili się, by znów biec i walczyć o ojczyznę, często z okrzykiem: „Huraaaaa, uraaaa”.

„Każdy chłopiec — zauważa wspomniana wcześniej dziennikarka, do niedawna jeszcze freelancerka — chciał być Jankiem. Tym zazwyczaj zostawał lider podwórka.



Fot. 2. Premiera serialu *Cztery pancerni i pies* w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki. W pierwszym rzędzie drugi z prawej ptk Janusz Przymanowski, obok bohaterowie serialu z psem

Drugą najlepszą rolą była rola Gustlika, bo silny i wielki, samą posturą budził postrach wroga niemieckiego. Na trzecim miejscu był Grigorij, bo rządził czołgiem. Nikt nie chciał być Niemcem, bo serial telewizyjny uczył, że Niemiec to nie tylko faszystowski morderca, to na dodatek największy głupek i dureń. [...]

Do tej pory zastanawiam się, z kim moi koledzy walczyli, skoro bycie Niemcem w zabawie było wielkim

wstydem i hańbą? Nie mogli walczyć przecież z Ruskimi, bo zewsząd płynęła nauka, że to wielcy przyjaciele naszego narodu. Jednak chłopacy musieli jakoś dochodzić do porozumienia i typować Niemców, bo w ich wojnie słychać było też okrzyki: «Hande hoch» albo «Hitler kaput». Od najmłodszych lat moje pokolenie poznawało historię drugiej wojny światowej. Doskonale wiedzieliśmy, kim był Adolf Hitler. Kiedy dzisiaj pytam ośmiodziesięciolatków, kim był ten pan, to nie mają zielonego pojęcia. Zazdroszczę im, że ich dzieciństwo wolne jest od wojennej propagandy i kitu, że Rosjanie to przyjaciele, a Niemcy to wrogowie.

Dziewczyny nie brały udziału w zabawie w wojnę, chociaż bycie śliczną Marusią na pewno by było nobilitujące. Już mając cztery lata, po raz pierwszy spotkałam się z dyskryminacją ze względu na płeć, bo koledzy uparcie twierdzili, że dziewczyny się do wojny nie nadają i nie chcieli mnie w drużynie. Ale z uwagi na fakt, że zawsze kochałam psy i byłam od kolebki nimi otoczona, to wymyśliłam, że będę Szarikiem. Dzięki temu fortelowi mogłam się z nimi bawić i to na szczególnych warunkach. Mogłam biegać, szczekać i mieć pewność, że nikt mnie nie zabije, bo po co niby strzelać do psa, marnując naboje? Moja kariera Szarika dobiegła końca, gdy w piaskownicy ugryzłam kolegę, chcąc pokazać, że jestem pełnowartościowym członkiem załogi siejącym pogrom wśród wroga, tak samo jak patyki kolegów udające karabiny. Niestety, mazgaj się rozplakał wniebogłosy, zamiast po męsku znieść trudy wojenne⁶.

Można się zastanawiać, dlaczego we współczesnej polskiej kulturze brakuje opowieści o przyjaźni, której tłem byłyby — już pozbawione wymiaru ideologicznego — losy Polaków w okresie najnowszej historii. Dlaczego nie powstał żaden serial — z wyjątkiem może *Czasu honoru* — na miarę „Pancernych”, który tak przekonująco ukazywałby przyjaźnie z okresu drugiej wojny światowej, film o żołnierzach Armii Krajowej, o powstańcach warszawskich, o żołnierzach armii Andersa czy dywizji generała Maczka? Brakuje też tego rodzaju filmów traktujących właśnie o przyjaźni w czasach pierwszej „Solidarności”, stanu wojennego, narodzin III Rzeczypospolitej⁷.

Opowieść o historii sama w sobie była i jest ważnym „wycinkiem życia publicznego”: film ustanawia w zbiorowej świadomości wydarzenie historyczne — i sam je stanowi. Uroczysta premiera *Katynia* Andrzeja Wajdy, która odbyła się 17 września 2007 roku, w rocznicę napaści ZSRR na Polskę — rocznicę długo nieobecną w oficjalnej historii Polski — stała się wydarzeniem dnia. Ze wszystkich dzienników biła radość, że „wreszcie mamy film o Katyniu”.

Kolejne apele o „prawdziwy” film o powstaniu warszawskim, gorąca dyskusja nad tym, czy można pokazać żołnierzy na Westerplatte pijących wódkę, co rusz powracające głosy, by nie wyświetlać seriali *Czterej pancerni i pies* lub *Stawka większa niż życie*, dowodzą, jak powszechna jest myśl, że publiczna opowieść o ważnych wydarzeniach historii politycznej ma kluczowe znaczenie dla zbiorowej tożsamości⁸.

Film „dla wszystkich” jest marzeniem wielu, osiągalnym jedynie dla nielicznych. W praktyce komunikacyjnej, wśród twardych i prozaicznych reguł życia filmowego, spełnia się ono niezmiernie rzadko. Kurs na odbiorcę uniwersalnego bynajmniej nie stanowi jedynie słusznej strategii autorskiej. Adresat wyspecjalizowany okazuje się niekiedy strategią znacznie bardziej skuteczną. Zwłaszcza obecnie, gdy zaskakujące „kaprysy” koniunktury niemal każdego dnia dostarczają coraz to nowych argumentów na rzecz tezy, że w kinie nie wszystko podoba się wszystkim⁹.

W 2001 roku w dwutygodniku „Viva!” pojawiła się sensacyjna wiadomość o pracach nad kinową wersją *Czterech pancernych i psa*. Gustlika miał zagrać Cezary Pazura, Aleksander Domogarow miał wcielić się w Grigorija, Wojciech Malajkat w Czereśniaka, na Marusię wybrano Agatę Buzek, Anna Przybylska specjalnie do roli Lidki miała przefarbować włosy, ale chyba największym zaskoczeniem był wybór do roli Janka Pawła Juzwuka, didżeja prowadzącego wtedy między innymi listę przebojów MTV¹⁰.

Informacja okazała się tylko primaaprilisowym żartem czy swego rodzaju medialnym happeningiem. Jak to się stało, że idole peerelowskiej kultury dla mas przyjęli się tak dobrze w rzeczywistości kapitalistycznej? Wy tłumaczenie jest proste — ucieleśniali dobrze nam w sumie znane schematy. Część Polaków, zdeorientowanych różnymi efektami transformacji ustrojowej, intuicyjnie obierała kurs na dobrze sobie znany porządek, a nie



Fot. 3. Pułkownik Janusz Przymanowski z Marią Hulewicz, współscenarzystką drugiej i trzeciej serii *Czterech pancernych i psa*

„dziką” wolność. Masowy bohater-zbawca, nawet ten ulepiony za komuny, w mundurze, choćby milicyjnym, był swojski, znany¹¹.

Być marionetką w rękach potężnych szermierzy nie jest chyba przyjemnie. Serial stał się — oprócz politycznej — przedmiotem komercyjnej manipulacji. Telekomunikacja Polska wyprodukowała reklamę swych usług, posługując się postacią Janka Kosa na czołgu w towarzystwie — jakżeby inaczej — Szarika. Niestety młody mężczyzna, który wystąpił w tej reklamie, choć był wierne ucharakteryzowany na Janusza Gajosa, nie zdobyłby podobnej mu popularności. Nie ten uśmiech, nie ten głos

i nie ten wdzięk. To banalny przykład, lecz pokazuje, że tajemnica sukcesu nadal pozostanie tajemnicą. Można rozłożyć na części pierwsze jakąś postać, powtórzyć jej kostium, teksty, sposób zachowania, a i tak nie odtworzy się oryginału¹².

Znawca filmu polskiego Oskar Sobański przekonywał, że o sukcesie serialu zadecydowały obrazy jadącego czołgu. „Rudy” 102 był jednocześnie bezpiecznym domem i skutecznym narzędziem sprawiedliwej walki. Maciej Pawlicki, dziennikarz, reżyser i producent telewizyjny, podkreślał inny aspekt — pancernych było wprawdzie czterech, ale na podwórku każdy chciał być tylko Jankiem. Może nie każdy, ale chyba większość tak, dlatego to on był w tym serialu najważniejszy (zwłaszcza w pierwszej części) i to ta postać zadecydowała o sukcesie produkcji. I to jest dziwne, bo to w sumie antypatyczny typ. Argumenty za tą tezą przytacza znakomity felietonista Wojciech Tomczyk. Oto kilka aspektów — wymieniam tylko kilka z nich, bez zwyczajowych kropek w kwadratowych nawiasach:

„*Janek i pies*: W polskiej krytyce filmowej utrwaliło się przekonanie, że Janek Szarika lubi. To nie jest prawda. Janek Szarika wykorzystuje, bezwzględnie wciągając poczciwego owczarka w swe intrygi. Szarik jest dla niego narzędziem w rozgrywkach personalnych z resztą załogi, a także z Wichurą i chorążym Zenkiem. Szarik, bez nadziejnie w Janku zakochany, raz po raz ratuje mu życie, choć on tego nie docenia. Po rozprawieniu się przez psa z niemieckimi dywersantami Janek mówi do Gustlika

wprost: «Bez Szarika też byśmy dali sobie radę». Potem jest coraz gorzej. Gdy pies ocala Janka z rąk pięciu (!) esesmanów, Janek zostawia go na pastwę losu. Kolegom wyjaśnia, że nic nie mógł zrobić, a pies zginął, bo — idiota — pewnie wlaźł na minę. Dalej, w tej samej scenie, znajomy chłop przynosi czołgistom zupę i chleb. W czasie tradycyjnego siorbania Grigorij i Gustlik zostawiają resztki dla psa — Janek siorbie wszystko do końca: postawił na psie krzyżyk. Jest zimnym egoistą.

Janek i ekologia: Janek przyrody nienawidzi. Zarówno fauny, jak i flory. Nie znosi uwielbianych przez Czereśniaka krów. Od czasu, gdy obejmuje dowództwo, jego czołg specjalnie i bez powodu łamie drzewa. Z satysfakcją zalewa różę feldfebla Kugela. Trudno zrozumieć, dlaczego w tej sytuacji Janek uniemożliwia Niemcom wyprodukowanie broni atomowej, która rozwiązałaby przecież problem radykalnie.

Janek i donoszenie: Pierwsze spotkanie z pułkownikiem Tadeuszem mówi nam o Janku wszystko. On i Gustlik donoszą na kucharza (Wojciech Siemion), a pułkownik wsadza go do paki. Gdy pułkownik wypuszcza Siemiona, Janek się wścieka. Donosicielstwo, skarżenie na towarzyszy broni jest w brygadzie normą. Równy kabluje Wichura, donosi Lidka. Chorąży Zenek jest po prostu kapusiem. Nie donosi jedynie Czereśniak, który jest popychlem, ciulem i, *last but not least*, czereśniakiem¹³.

Wydaje się, że pomysł na realizację nowej adaptacji historii o czterech pancernych z góry skazany jest na niepowodzenie, czego dowodzą współczesne próby



Fot. 4. Zdaniem niektórych o sukcesie serialu zdecydowały obrazy jadącego czołgu

ożywienia Klossa (pięciodcinkowy serial *Stawka większa niż śmierć*) czy Pana Samochodzika w filmie fabularnym, po którego emisji Netflix wycofał się z kręcenia kontynuacji. Totalna klapa. Nie była to jedyna „reanimacyjna” porażka.

Na początku XXI wieku wydawnictwo Mandragora spróbowało zdyskontować popularność dawnej serii o kapitanie Żbiku, wydając komiks, którego bohaterem był wnuk dzielnego milicjanta. Zakończyło się to spektakularnie, aczkolwiek nie tak, jak wydawca sobie wyobrażał. Opracowanie graficzne serii powierzono rysownikowi młodego pokolenia, Michałowi Śledzińskiemu, który już po stworzeniu (i opublikowaniu) pierwszego odcinka serii dał wyraz swojej irytacji niską jakością scenariusza, umieszczając na własnym blogu wiadomość: „Pier..., nie robię”¹⁴.

Podobnie było pod względem literackim, może z wyjątkiem pastiszu Gabriela Rumkowskiego i jego *Prawdziwych losów czterech pancernych*. Ale i tu efekt komercyjny nie dorównał pierwowzorowi. Do tej samej kategorii można zaliczyć wcześniejsze musicale, a także sceniczną interpretację w całkowicie nowej odsłonie, o czym pisze w swoim artykule Jolanta Kowalska:

„Mariusia w niczym nie przypomina atrakcyjnej Poli Raksy, dowartościowującej erotycznym dreszczykiem polsko-radzieckie braterstwo broni. Bohaterka Ireny Wójcik jest w wałbrzyskim przedstawieniu prostą dziewczyną z ludu, mającą zepsute zęby i od czasu do czasu konsumowaną seksualnie przez załogę czołgu. Dość

powiedzieć, że reprezentujący tu «pańskie» tradycje Janek wyraźnie się jej wstydzi, traktując jako mało higieniczny dodatek do wojennej przygody¹⁵.

Po powyższych przykładach aż strach się bać, jak miałyby wyglądać nowa, uzupełniona, poprawna politycznie i dostosowana do klienta platform streamingowych wersja przygód *Czterech pancernych i psa*. Olgierd pewnie byłby Amerykaninem, bo załoga czołgu będzie w składzie dywizji pancernej generała Maczka utworzonej w Szkocji. Gustlik, i owszem, ucieka z Wehrmachtu, ale by dostać się do polskich sił zbrojnych na zachodzie. Po wojnie wróciłby jednak z Honoratą na Śląsk, ale na początku lat siedemdziesiątych, sfrustrowany niskimi zarobkami, wyemigrowałby do RFN (być może wybrałby Monachium, gdzie udzielałby się w Radiu Wolna Europa).

A Janek? Ślubował Najświętszej Maryi Pannie, że dopóki Ojczyzna nie odzyska niepodległości, nie tknie żadnej dziewczyny. Dlatego w ostatniej scenie przed rozstaniem się pancernych Gustlik, patrząc na Kosa wsiadającego do pociągu zmierzającego do Warszawy, popuka się w czoło i przytrzyma wrywającego się Szarika, tłumacząc psu: „Ciebie nie puszcę na zatracenie”¹⁶.

Chociaż mijają lata, wciąż chętnie wracamy do przygód bohaterów seriali rodem z PRL, a *Czterej pancerni i pies* to bez wątpienia najczęściej emitowany polski serial. Obietnicę zawartą w słowach *Ballady o pancernych* serialowi bohaterowie spełniali wielokrotnie.

„To byli w końcu nasi chłopcy! Jednego dnia upadali — tłumaczył ich sukces Zbigniew Nęcki, profesor

psychologii społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego — drugiego się podnosili. Chętnie pili gorzałkę i wspólnie śpiewali. Dzięki temu właśnie widz mógł się z nimi zidentyfikować. W końcu dzięki nim widzowie mogli się poczuć choć na chwilę zwycięzcami¹⁷.

Jak to słusznie ujmuje Sławomir Malinowski, *Cztery pancerni i pies* to baśń, ale baśń przyjęta z entuzjazmem, a przy tym zachowująca klasyczne wzorce swego gatunku, gdzie dobro pokonuje zło, a strony konfliktu nigdy nie przekraczają granicy odcieni, którymi cechuje się realne, nie filmowe, życie. I to właśnie wystarczyło, by na tle ówczesnych, przeintelektualizowanych bohaterów literatury i ekranu stali się postaciami najbardziej zrozumiałymi, bliskimi i jakże drogimi — jak określił pięknie Lech Pijanowski — „przez nieosiągalność wzorca”¹⁸.

„Wańka raskazczyk”

Przymanowski to był panisko całą gębą. W czasach zgrzebnych, kiedy ludzie byli skromni i budowali jeszcze socjalizm, Przymanowski kupił sobie zachodni samochód i jeździł nim na chałtury, tj. spotkania autor-skie. Zajechał do jakiejś miejscowości, gdzie zgromadzili się jego czytelnicy, i zażądał od władz harcerskich, żeby druhowie popilnowali mu wozu. Kiedy harcerze odmówili, powiedział, że nie zaryzykuje zostawienia auta bez ochrony, i wyjechał¹.

Autorem powyższej charakterystyki jest Jerzy Urban, słynący z ciętego języka, ale inna rzecz, że inklinacje do awansu na panisko Przymanowski odziedziczył po ojcu, który szczycił się szlacheckim pochodzeniem (co nie przeszkadzało mu należeć do PPS-u). Mimo to mało kto by przypuszczał, że autor kultowej powieści przeobrazi się ze skromnego harcerza w człowieka wysługującego się harcerzami... Ale po kolei.

Urodzony warszawiak, przyszedł na świat na początku 1922 roku. Pochodził z nieźle sytuowanej rodziny urzędniczej, gdyż jego ojciec, Stefan, pracował jako księgowy w dyrekcji Polskich Kolei Państwowych. Dzieciństwo

spędził na warszawskiej Pradze, w budynku przy ulicy Konopackiej 8: „Do dwunastego roku życia biegałem po wodę do studni, z pomyjami na śmietnik, a w innych sprawach również na dwór, z kluczykiem do rodzinnej kłódki, co wyróżniało mnie wśród chłopaków z podwórka (ten kluczyk był rezultatem stałych zarobków ojca)”².

Przymanowscy byli ludźmi dużo czytającymi. Matka, Wacława, społecznie prowadziła bibliotekę Związku Urzędników Kolejowych przy ulicy Stalowej, gdzie młody Janusz był niemal codziennym gościem. To dzięki rodzicom poznał wielkie dzieła literatury, wieczorami ojciec czytywał głośno zarówno Mickiewicza i Słowackiego, Kasprowicza i Staffa, jak i Sienkiewicza, Prusa czy Żeromskiego. On sam gustował w powieściach historycznych, więc po latach mógł wysnuć wniosek, że gatunek ten zajął się naszymi dziejami nierównomiernie. „Wiek XVII i epoka napoleońska — zauważał — zostały wyeksponowane, ale już znacznie mniej mamy do czytania o powstaniach narodowych, o latach 1914–1918, o tych, którzy walczyli za II Rzeczpospolitą...”³.

Z dzieciństwa zapamiętał ciepło domowego ogniska i miłość:

„Dniem powszednim rządził jednak surowy regulamin egzekwowany przez ojca — zastrzegał — punktualne wstawanie i kładzenie się spać, czyszczenie butów, układanie rzeczy na własnej półce zawsze w tym samym miejscu. Absolutna prawdomówność, przyznawanie się do psot i błędów, natychmiastowe wykonywanie poleceń. Wdzięczny jestem ojcu za tę surową szkołę. Surową,



Fot. 5. Jeszcze w szkole Przymanowski otrzymał przydomek „Żuraw”

twardą, a jednocześnie sprawiedliwą i łagodzoną serdecznością.

Mama zmarła młodo, miałem wówczas ledwo dwa-ście lat. Mimo to rodzice przekazali mi szacunek dla ufnej i wiernej miłości. To, co dziś może nie jest modne, co niektórym wydaje się słodkawe, mnie zostało na całe życie jako busola uczuć⁴.

Po śmierci żony ojciec Przymanowskiego w 1935 roku ożenił się z jej siostrą Ireną, ale do rozwodu doszło już trzy lata później — prawdopodobnie dlatego, że Stefan Przymanowski stracił wzrok. Gdy Janusz miał piętnaście lat, chciał zostać chemikiem. Przygotowywał się do tej roli metodycznie (co zostanie mu już na zawsze). „Sprawdziłem, czy moja sympatia nie jest uczulona na siarkowodór, gdyż to by ją dyskwalifikowało jako partnerkę chemika”⁵.

Był chudy, wysoki, więc przyłgnęło do niego przydomek „Żuraw”. Szybko, bo już w 1934 roku wciągnęło go

harcerstwo — widać ciągoty do munduru miał od wieku szczenięcego. Był nawet zastępowym, zastępcą drużynowego, mógł się również pochwalić stopniem „harcerza orlego”⁶. Przyznawał, że harcerstwo wywarło na niego silny wpływ:

„Gdy na parę lat przed wojną ZHP stawał się coraz bardziej sanacyjny, tu i ówdzie poczynały krzewić się tendencje nacjonalistyczne i antysemickie, potrafiliśmy utrzymać w naszej drużynie stosunki demokratyczne, może nawet o różowym odcieniu. Gdy przysłano nowego drużynowego, który nam się nie podobał, poszliśmy z kumplem serdecznym Mieczysławem Szawarskim do komendy hufca Grzybów, oświadczając, że sami chcemy naszymi losami kierować. [...] Dwa ostatnie obozy przedwojenne były prowadzone wyłącznie przez uczniów. Owszem, jechał z nami druh Marian, zwany Bratem Północnego Wiatru, jako opiekun, ale mieszkał sobie w oddzielnym namiociku, a myśmy o wszystkim decydowali, wszystko organizowali sami.

Harcerstwo nauczyło mnie paru przydatnych w życiu umiejętności. Na obóz przyjeżdżaliśmy na puste miejsce. Trzeba było zaczynać od pionierki, to znaczy od ścinania drzew, obróbki pni, robienia prycz, stołów, budowania kuchni, rozbijania namiotów. Gdyby nam ktoś z dorosłych pomoc proponował, odrzucilibyśmy ją z oburzeniem.

Druga umiejętność to czytanie map, które się potem bardzo przydało. Do dziś lubię kartografię i mogę przesiedzieć godzinę, podróżując po papierze.



Fot. 6. Obóz harcerski — lata trzydzieste

Trzecia, to podstawowe elementy opanowywania lęku, czyli formowania odwagi. No bo jeśli trzeba pełnić wartę o północy, czy w najgorszych godzinach przedrannych, a tu ciemno, las gada, każdy krzak wydaje się podejrzany...

W harcerstwie nauczyłem się pływać, orientować w lesie, maszerować na przełaj, pokonywać przeszkody terenowe. Poza tym, ponieważ wzięliśmy władzę i jako szesnastoletni chłopcy prowadziliśmy drużynę, rozwiązując od początku do końca sprawy organizacyjne, finansowe, wychowawcze, była to autentyczna szkoła współpracy z ludźmi, nawiązywania kontaktów⁷.

Co ciekawe, w sierpniu 1939 roku szesnastoletni wówczas uczeń pierwszej klasy gimnazjum Henryk Jerzy



Chmielewski był harcerzem zastępu „Wilki” 70 Warszawskiej Drużyny Harcerskiej — tej samej, której chorążym był Janusz Przymanowski, co „ojciec” komiksowego szympansa Tytusa de Zoo odnotował nawet w swojej autobiografii. „Pierwsze zbiórki, przysięga, kupno mundurka — wspominał słynny Papcio Chmiel — i pierwsze zorganizowane wycieczki podmiejskie. Chorążym naszej drużyny był starszy kolega z liceum, Janusz Przymanowski, później sławny autor scenariusza serialu telewizyjnego *Czterej pancerni i pies*”⁸.

Młody Przymanowski dzięki ojcu zatrudnionemu na kolei dysponował rocznie trzema bezpłatnymi biletami w dowolnym kierunku. Dzięki temu dojechał w Tatry, Beskidy, zwiedził Czarnohorę, przemierzył polski skrawek Bałtyku, dotarł do granicy polsko-bolszewickiej, chodził ulicami Wilna, Lwowa, Krakowa. Przyznawał, że uczył się widzieć piękno ukryte pod maską brzydoty.

„W żadnej ze swoich książek — usprawiedliwiał się — aż do lat osiemdziesiątych, nie przywoływałem obrazu międzywojennej Warszawy, jej przedmieść i okolic. Być może była to podświadoma chęć odłożenia trudnej roboty do czasu lepszego opanowania rzemiosła. Niełatwo przecież przekonywająco wytłumaczyć, jak rodzi się i rozwija miłość do kraju biednego, źle rządzonego, rozdartego niechęciami dzielnicowymi, nienawiścią narodowościową, niesprawiedliwością społeczną”⁹.

Z jego *Zeszytu ewidencyjnego* wynika, że pięć klas szkoły podstawowej w latach 1929–1934 przerobił w... domu. Potem, do wybuchu drugiej wojny światowej, chodził do

Gimnazjum Ogólnokształcącego w Warszawie. Dziesiątą klasę Gimnazjum Ogólnokształcącego w Brześciu nad Bugiem zaliczy na przełomie 1939 i 1940 roku¹⁰. Szukam wytłumaczenia tego fenomenu edukacyjnego w oficjalnym życiorysie Janusza Przymanowskiego. Niestety nie znalazłszy satysfakcjonującego wyjaśnienia, sięgam po wspomnienia pułkownika, licząc, że może na stronach spisanych kilka dekad później okaże się skłonny do głębszych wynurzeń.

„Do szkoły podstawowej nie chodziłem. Mieszkaliśmy w Wołominie, powszechniak był łobuzerski. Przypadek sprawił, że naraziłem się swoim rówieśnikom zamieszkałym w sąsiedniej kamienicy, przypominającej dworskie czworaki, gdzie gnieździły się rodziny bezrobotnych i sezonowych ładowaczy z huty szkła. Uczyłem się w domu, potem na kompletach, w prywatnej szkółce z klasą przedwstępną i wstępną.

Mając lat jedenaście, zdałem egzamin do gimnazjum. Była to prywatna szkoła Związku Nauczycieli Szkół Średnich imienia Stefana Żeromskiego, a więc droga. Uczyłem się dobrze, ale przeniesiono mnie do gimnazjum państwowego — rok nauki kosztował tu tyle, co miesiąc w prywatnym. Tam jednak nie mogłem pogodzić się z panującymi stosunkami — o wysokości stopnia często decydowało, czy odpowiada syn pułkownika, czy tylko kolejarza lub tramwajarza. Powiedziałem to głośno i wytworzyło się wrogie napięcie między mną a paroma nauczycielami”¹¹.

Wrócił więc do „Żeromskiego”, gdzie uczył się dobrze i bez trudu plasował się w pierwszej trójce prymusów.



Fot. 7. Przedwojenna warszawska Praga

Przyznawał, że lubił zarówno algebrę, trygonometrię i geometrię, jak i historię literatury. Z religii mógł liczyć na piątkę dzięki dżentelmeńskiemu układowi z księdzem prefektem, który polegał na odpowiadaniu na pytania zgodnie z podręcznikiem. Nie szło mu za to z łaciną i niemieckim, bo nie przepadał za wkuwaniem słówek, no i z gimnastyką, gdyż już wcześniej miał kłopoty ze zdrowiem (przez chorobę płuc stracił jeden rok szkolny).

Był jedynakiem, książki zastępowały mu zabawę z bratem czy siostrą. Od czternastego roku życia nosił okulary, co trochę przeszkadzało w grze w piłkę nożną i skakaniu na głowę do glinianek. Na czytanie nie starczało dnia.

W tajemnicy rozkładał książki na parapecie i pochłaniał lekturę przy świetle latarni ulicznej¹².

Sielankę i edukację przerwał wybuch drugiej wojny światowej. Jak większość młodzieży chciał się bić, pobrał karabin i w drelichowym mundurku znalazł się w szeregach ochotników. „Ojca ewakuowano z dyrekcją kolejową w rejon Kowla. Ja wyjechałem na rowerze, by szukać miejsca, gdzie umięjącemu strzelać junakowi Przysposobienia Wojskowego i harcerzowi orlemu dadzą karabin i naboje. Żegnając się, nie przeczuwaliśmy, że od ponownego spotkania dzieli nas pięć i pół roku. Od tej pory miałem stawiać czoła losowi w pojedynkę”¹³.

Wraz z wieloma innymi warszawiakami opuścił miasto rankiem 7 września 1939 roku, co było efektem niefortunnego wezwania radiowego szefa propagandy w Sztapie Naczelnego Wodza, pułkownika Romana Umiaszowskiego. Poleciał on bowiem wszystkim niezmobilizowanym mężczyznom zdolnym do noszenia broni udać się na wschód, gdzie mieli zostać włączeni w skład tworzonych tam oddziałów. Wprawdzie rozkaz został wkrótce odwołany, ale tysiące warszawiaków zdążyło już opuścić miasto, a wśród nich był właśnie siedemnastoletni Przymanowski.

Na rowerze dotarł do Brześcia i chyba zataił swój prawdziwy wiek, bowiem trafił do organizowanego tam Batalionu Pancernego. W walkach jednak nie uczestniczył, gdyż pododdział został wycofany na przedmoście rumuńskie i rozbrojony przez Sowieców pod Tarnopolem. Przyszły pisarz trafił do niewoli, z której miano go

zwolnić, gdy oznajmił, że pochodzi z Brześcia — tak przynajmniej twierdził w swoich wspomnieniach:

„17 września pod Tarnopolem zatrzymano nasz pociąg; konno podjechał parlamentarzysta z czerwoną gwiazdą na czapce, przyłożył rękę do daszka i wyrecytował: «Siewodnia utrom Rabocze-Krestianskaja Krasnaja Armia piereszła gosudarstwiennuju granicu Polszy, spasaja żyżń i swobodu swoich bielaruskich i ukraińskich bratiew...».

Wstrząs był silny. Długą chwilę my i tyraliera otaczających pociąg krasnoarmiejców patrzyliśmy na siebie poprzez celowniki karabinów. Strzał padł tylko jeden — dowódca transportu popełnił samobójstwo. Odebrano nam najpierw broń. Potem, podczas spisywania nazwisk, musiałem oddać dobrą finkę harcerską i aparat fotograficzny Kodak «Vollenda 620».

Pierwszą noc oficerowie przesiedzieli na podmokłej łące, a szeregowcy na trawiastym dziedzińcu dużego obejścia dworskiego. Ktoś usiłował przeskoczyć ogrodzenie, ale niska seria z karabinu maszynowego przycisnęła go płasko do murawy.

Do północy nie spałem. Pomysły, jeden od drugiego bardziej absurdalny, wirowały pod czaszką. Był wśród nich i taki, że jeśli nas ześlą w rejon Pamiru, to stamtąd tylko wąski pasek Afganistanu dzieli te góry od Indii, gdzie są nasi brytyjscy sojusznicy. Może więc udałoby się przedostać przez dwie granice? Śmieszne? Naturalnie”¹⁴.

W niewoli, w obozie tymczasowym trzydzieści kilometrów na wschód od Podwołoczysk, był zaledwie miesiąc. Potem dokonano selekcji: szeregowych i kaprali, którzy



Fot. 8. Żołnierze Wojska Polskiego maszerujący ulicą Grochowską (róg ulicy Stoczkowskiej)

pochodzili z ziem na wschód od Bugu, puszczone do domów. Tych, którzy pochodzili z miejscowości leżących na zachód od Bugu, zatrzymano w obozach i potem dokonywano wymiany: z terenu okupacji niemieckiej szły pociągi z Ukraińcami i Białorusinami, byłymi żołnierzami Wojska Polskiego; z Polakami również, ale tylko zamieszkującymi ziemie wschodnie. Na zachód odsyłano Polaków z centralnych i zachodnich województw, wziętych do niewoli przez Armię Czerwoną.

Po stronie niemieckiej ci ludzie szli do stalagów, na wschód od Bugu wracali do rodzin. Władze radzieckie prowadziły dwie akcje zupełnie niezależne od siebie: wymianę i powrót do domów, a parę miesięcy później

wywożenie w głąb Rosji różnych grup ludności. Nie tylko policji, nie tylko byłych zawodowych wojskowych, ale wszelkiego rodzaju urzędników państwowych łącznie z gajowymi, leśniczymi i listonoszami.

„Przy okazji — opisywał po latach — przesiedlano na daleką północ, do Kornu, na stepy północnego Kazachstanu i na Syberię dziesiątki tysięcy rodzin, które nie bardzo mogły się domyślić dlaczego. Miesiąc spędzony w obozie radzieckim składał się nie tylko z transakcji wymiennych z wartownikami, lecz równoległe z dni i nocy uporczywego myślenia o sprawach zasadniczych. Czasu było dużo. Poza wystawaniem w kolejce do kotła po zupę zwaną bałandą i po chleb nie mieliśmy nic do roboty”¹⁵.

Kiedy po miesiącu, ze względu na młody wiek oraz adres zamieszkania w Brześciu nad Bugiem, co oczywiście odbiegało od prawdy, został zwolniony, nie widział sensu powrotu do Warszawy, skoro okupowali ją już Niemcy. Żeby zarobić na utrzymanie, wziął się za naprawy domowych instalacji elektrycznych, woził ziemniaki z targu, rąbał drewno na opał albo robił za bagażowego na dworcu.

Wykazał sporo rozsądku, zapisując się na wieczorną zmianę do szkoły, która najpierw nosiła imię Romualda Traugutta, ale za rządów sowieckich miała tylko numer 21 i przed południem uczęszczali do niej Rosjanie. Na zebraniu partyjnym w 1952 roku podawał, że w 1939 roku próbował przedostać się do Warszawy, do ojca, po książki i ubrania, ale zatrzymany przez władze radzieckie spędził trzy tygodnie w więzieniu. Powtarza to w spisanych pod koniec lat osiemdziesiątych wspomnieniach:

„W grudniu postanowiłem dokonać wyprawy po książki i odwiedzić ojca. Wiedziałem, że sporo ludzi przechodzi granicę tam i z powrotem. W związku z planami studiów na lwowskiej politechnice był mi zwłaszcza potrzebny uniwersytecki podręcznik chemii Zawadzkiego, kupiony na rok przed wojną za dwadzieścia parę złotych — równowartość miesięcznego udzielania korepetycji.

Zostałem schwytyany i odsiedziałem trzy tygodnie w twierdzy brzeskiej, na Brygidkach.

Trafiłem do celi ogromnej, lecz tłocznej, gdyż bytowało w niej półtorej setki więźniów. Zgodnie z niepisanymi prawami, jako nowicjusz i na dodatek białorączka w okularach, pierwszą noc spałem w najpodlejszym miejscu, zimnym i cuchnącym — obok kibla. Następnego dnia zrobiłem oszałamiającą karierę — starszy celi, bogatszy w wyroki niż lata, usłyszał, jak opowiadam sąsiadowi treść filmu *Bengalscy lansjerzy* i przeniósł mnie pod piec. Do moich obowiązków należało podkładanie drewna i streszczanie przeczytanych powieści, aż do chwili gdy najwytrwalszego słuchacza sen zmorzy.

Naczelnikiem więzienia był bolszewik ze starej kadry rewolucyjnej. Musiał coś przeskrobać, komuś się narażić, skoro został zesłany na tak marne stanowisko. Ten siwiejący, uważnie patrzący prosto w oczy człowiek dał mi wiarę mojemu nieprawdopodobnemu i chaotycznemu opowiadaniu, że ja tylko po książki, że miałem zamiar wrócić. Bywają i takie cuda.

Mieszkaliśmy w Brześciu z moim przyjacielem z czasów warszawskich, Jurkiem Znamirowskim, genialnym

matematykiem. Był na poziomie III roku uniwersyteckich studiów. Wiodło nam się dość marnie, ale trafiliśmy na dwie damy, którym potrzebni byli wiarygodni świadkowie-przyzwoitki. Gdy przychodziła milicja, składaliśmy równie fałszywe co uroczyście oświadczenia, że nasze gospodynie owszem kochają się z tym i owym, ale nie pobierają za to honorariów. W zamian za cyniczne krzywoprzysięstwa mieszkaliśmy bezpłatnie na stryszku, a obie panie były w stosunku do nas opiekuńcze i troskliwe. Kiedy po powrocie z Brygidek zachorowałem na zapalenie płuc, wykombinowywały rzeczy pozornie nie do osiągnięcia: masło, jajka, miód¹⁶.

Ponieważ ukończenie szkoły średniej nr 21 w Brześciu na podstawie uchwały Rady Komisarzy Ludowych ZSRR i Komitetu Centralnego WKP z 30 września 1935 roku dawało Przymanowskiemu prawo wstąpienia na wyższą uczelnię bez przystępowania do egzaminów wstępnych, dążył do zdania tam matury, co jednak nader lakonicznie komentuje w oficjalnym życiorysie spisany w połowie czerwca 1948 roku, czyli niemal dekadę później: „W roku 39–40 skończyłem 10 klasę szkoły Nr 21 w Brześciu nad Bugiem”¹⁷.

We wspomnieniach spisanych kilka dekad później jest już wylewniejszy:

„Maturę musiałem przyspieszyć, bo na wiosnę 1940 roku wydawano paszporty radzieckie. Przy okazji zostałem Iwanem, bowiem urzędnik stwierdził, że imię Janusz nie istnieje. Jest Jan, po rosyjsku Iwan. Ostatecznie jak zwał tak zwał, ale co bardziej istotne, paszport otrzymałem z paragrafem

Przymanowski 5-8

ŻYCIORYS

Urodziłem się 20 stycznia 1922 roku w Warszawie. Ojciec mój pracował jako urzędnik (buchalter) warszawskiej dyrekcji P.K.P. Matka zajmowała się gospodarstwem domowym. W roku 1934 matka umarła. W roku 1939 skończyłem I-szą klasę Liceum fiz.-mat. im. St. Żeromskiego w Warszawie.

We wrześniu 1939 r. wstąpiłem ochotniczo do 4-go bat. pancernego w Brześciu. 17.09 zostałem rozbrojony pod Tarnopolem. W roku 39-40 skończyłem 10-tą klasę szkoły Nr.21 w Brześciu nad Bugiem. Od lata 40 roku do czerwca 1941 r. pracowałem w kopalni bazaltu w Janowej Dolinie jako górnik, mechanik pompy, chronometrysta i normujący.

26 czerwca 1941 r. ewakuowałem się do Dnieprodzierżyńska, gdzie miesiąc pracowałem w fabryce metalurgicznej im. Dzierżyńskiego.

We wrześniu ewakuowałem się na północny Kaukaz, gdzie pracowałem w stacji Karmalinówka w kolchozie Czapałewa i w sowchozie Kamienobrodskim jako traktorzysta do lata 1942 roku.

Gdy Niemcy przegrali front pod Rostowem ewakuowałem traktory i nie zdążyłem uciec.

Do stycznia 1943 roku pracowałem pod okupacją niemiecką w kolchozie "Put Ilicza" w stacji Mikołajewka.

Po przyjęciu Armii Czerwonej, wstąpiłem 25 stycznia 1943 roku do 62 Samodzielnej Brygady Moraskiej Piechoty jako ochotnik. Do 1 - IV - 43 walczyłem w jej składzie jako strzelec rusznicy ppanc. 1 - IV - 43 zostałem ranny w lewe ramię i dwa miesiące leżałem w szpitalu, po czym odkomenderowano mnie do 69 Roty Pracy a następnie do 180 Pułku Zapasu Piechoty.

W listopadzie 43 roku skierowano mnie do Armii Polskiej w ZSRR, gdzie przebyłem 14 - XI - 43 r.

Do października 1944 r. pełniłem służbę w 5 Bryg. Art. Ciężkiej na stanowiskach z-cy baterii i z-cy d-cy dyonu, uzyskując stopień chor. i ppor.

Październik i pół listopada 44 roku byłem lektorem 10 pułku art. haubicznej.

Około 11 listopada zostałem przeniesiony do Redakcji Gazety i Armii W.P., w której pełniłem służbę na stanowiskach specjalnego korespondenta, z-cy redaktora i redaktora naczelnego do września 1945 roku, uzyskując awans do stopnia porucznika i kapitana.

verte.

- 2 -

17 6.3

26 września zostałem przeniesiony do lotnictwa na stanowisko z-cy redaktora, a od grudnia 1945 roku - redaktora naczelnego Redakcji Czasopism Lotniczych. Na stanowisku tym pracuję do chwili obecnej.

20 grudnia 1945 r. otrzymałem awans na majora.

Posiadam następujące odznaczenia: "Krzyż Grunwaldu" III klasy, "Polonia Restituta V kl.", "Krzyż Walecznych", "Srebrny Krzyż Zasługi", medale za Warszawę, Berlin i Zwycięstwo.

W czasie wyborów do Sejmu Ustawodawczego R.P. byłem przewodniczącym Obwodowej Komisji Wyborczej na Obwodzie Wydzielonym.

W roku 1946 w lipcu przeszedłem wyszkolenie szybowcowe do podkt. "B", a w lipcu br. wyszkolenie silnikowe w Cyw. Szkole Pil. i Mech.

Obecnie od 29 maja rb. posiadam licencję pilota turystycznego.

Jestem sekretarzem generalnym Zarządu Głównego Aeroklubu Rzeczypospolitej Polskiej.

J. Przymonacki
/-/ J. Przymonacki, mjr)

14 czerwca 1948r.

Fot. 9. Życiorys pisarza spisany kilka lat po wojnie

jedenastym, to znaczy przeznaczonym dla ludzi podejrzanych, którzy urodzili się gdzieś poza granicami, a więc nie można ustalić, czy mówią prawdę. Dokument ten zakazywał mieszkania w stukilometrowym pasie przygranicznym oraz w miastach wojewódzkich. (Człowiek w dużym mieście się gubi, a w małym osiedlu go widać).

Otrzymałem nieprzekraczalny termin opuszczenia Brześcia. Radzieccy nauczyciele z naszej szkoły (było ich troje czy też czworo) załatwili mi wcześniejsze egzaminy i już w kwietniu dostałem świadectwo «otlicznika», to znaczy zawierające wyłącznie oceny bardzo dobre, co w polskim liceum byłoby raczej niemożliwe. Nie bardzo wiedziałem, dokąd jechać. Jedna z koleżanek doradziła Janową Dolinę nad Horyniem: «Ładna miejscowość, piękne lasy i rzeka, kopalnia bazaltu, a więc na pewno dostaniesz pracę». Zapakowałem pleciony z łoży kuferek, piekielnie ciężki ze względu na książki¹⁸.

Dokumenty z Archiwum IPN, choć nie tak obszerne, są jednak trochę bardziej wiarygodne, bo Przymanowski wielokrotnie pomijał w swoich wspomnieniach ważne tematy lub przedstawiał je w sposób całkowicie niezgodny z prawdą. Jak słusznie zauważa Sławek Koper w opracowaniu *Szukujące tajemnice autorów lektur szkolnych*, choć faktycznie chodził do dziesięcioletniej szkoły w Brześciu, to raczej trudno uwierzyć, że po jej ukończeniu sam wybrał sobie miejsce zatrudnienia w kopalni bazaltu w Janowej Dolinie na Wołyniu.

U Sowieców obowiązywał bowiem nakaz pracy, a bez odpowiednich przepustek nie można było poruszać się

po kraju. Relacja przyszłego pana pułkownika jest tym bardziej zadziwiająca, bo sam przyznał, że dostał sowiecki paszport ze słynnym paragrafem jedenastym oznaczającym osobę niepewną dla władz. Zatem na pewno nie wybrał nowego miejsca osiedlenia, tylko otrzymał nakaz pracy w kopalni bazaltu¹⁹.

„W Janowej Dolinie pracy dla maturzystów nie było, ale nie mogłem grymasić — przyjąłem stanowisko «czarnoraboczewo». Dostałem pożyczkę w formie talonów do stołówki i łóżko w hotelu robotniczym. Pokoje były wygodne, dwuosobowe. Trzeci w mojej kwaterze mieszkał oswojony, lecz bardzo wojowniczy jeź zastępujący budzik: kiedy ustawało mocne tupanie, cisza wyrываła nas z łóżek — pora na pierwszą zmianę.

Po paru dniach przeniesiono mnie do brygady minerskiej. W ciągu zmiany wiertacze świdrowali otwory w bazalcie, a myśmy potem napełniali je materiałami wybuchowymi, głównie dunitem — remanentem wojskowym Września. Podczas odstrzału miałem pilnować, żeby nikt nie przejeżdżał drogą obok kopalnianej odkrywki.

Po tygodniu, tuż przed odpaleniem, nadjechała galopem furmanka. Na niej chłop ukraiński, jego żona, mały chłopiec. Zatrzymałem ich. Prosili: «Przepuść, na miłość boską. Jedziemy do lekarza. Dotknij ręką, jaką ma gorączkę. Zembrze, jeśli nie puścisz».

Rzeczywiście, dziecko było rozpalone i nieprzytomne. Trochę się zlitowałem, trochę miałem pietra, że dostanę po zębach od furmana. Puściłem ich. Kiedy byli na wysokości kopalni, zagrzmiały eksplozje. Nic się nie stało,

kamienie padły obok, ale wyrzucono mnie, degradując znowu do czarnoraboczewo.

Wyprosiłem miejsce górnika na przodku. Robota piekielnie ciężka — osiem ton na dwóch w ciągu zmiany. Wyłamanie kamienia, rozbicie na mniejsze kęsy, załadowanie w koliby i odwiezienie pod wyciąg.

Już na trzeci dzień dłonie były pokryte krwawiącymi pęcherzami, palce się nie rozginały. Po dwu tygodniach ręce stwardniały, stawy znowu poczęły pracować i mogłem utrzymać nie tylko młot, ale i łyżkę. Którejś nocy, na trzeciej zmianie, wywaliły bezpieczniki. Zreperowałem. Technik kopalniany dowiedział się, wypytał, co umiem i przeniósł mnie do obsługi pompy odwadniającej, a potem na stanowisko motorniczego wyciągu windującego po pochylni koliby pełne, opuszczającego próżne.

Wymyśliłem sprawniejszy system ewidencji urobku, okazało się, że umiem liczyć i przeniesiono mnie najpierw do cechu mechanicznego jako chronometrażystę (człowieka, który przy pomocy stopera mierzy czas potrzebny do wykonania operacji na obrabiarkach). Wkrótce awansowałem na technika normowania największego zespołu — Kopalni nr 2. Dzięki precyzji i szybkości obliczeń zacząłem zupełnie nieźle zarabiać.

Początkowo, jako robotnik bez kwalifikacji, miałem dniówkę 6 rubli 24 kopiejki, co wystarczało na chleb i trzy zupy dziennie. W tym czasie pilnie oszczędzałem, odkładając na drugie danie w niedzielę. Dopiero wówczas, kiedy razem z premiami za bezbłądność miałem dziesięciokrotnie więcej, zaczęło mi nie wystarczać

do pierwszego... Na powitanie nowego 1941 roku po raz pierwszy w życiu wypilem parę kieliszków wódki i wypaliłem papierosa. Skutku łatwo się domyślić. Zapamiętałem to wydarzenie tak dobrze, że w całym długim życiu ledwo trzykrotnie przekroczyłem alkoholowe możliwości organizmu”²⁰.

Opisując znakomite warunki socjalne w Janowej Dolinie, w ogóle nie wspomniał, iż było to wzorcowe osiedle robotnicze wybudowane przez władze II Rzeczypospolitej. Najwyraźniej pochwały sanacji nie mogły mu przejść przez gardło (a raczej pióro) nawet kilkadziesiąt lat później. Inna sprawa, że pobyt w Janowej Dolinie stał się dla niego dobrą szkołą życia, gdyż niedawny licealista musiał pracować fizycznie²¹.

„Pragnąc poznać i zrozumieć nową rzeczywistość, tę, która była wokół mnie — wyjaśniał po latach, dlaczego wybrał taką, a nie inną drogę — zacząłem chodzić na kurs filozofii marksistowskiej i materializmu historycznego. Część wykładowców — ci z przedwojennych klasowych związków zawodowych, z MOPR-u, dwu Polaków z ZSRR — reprezentowała wysoki poziom.

Logiczny, spójny, oparty o wiedzę, a nie prawdy objawione, system pasował do mej konstrukcji psychicznej. Przyjąłem go w całości, postanowiłem, że będę przerabiał świat na ład socjalistyczny. Konsekwencją tych przemyśleń była decyzja organizacyjna — w styczniu 1941 roku wstąpiłem do Komsomołu.

Ukończenie dziewiętnastego roku życia zbiegło się z ukształtowaniem światopoglądu, jak dowiodło dalsze

pół wieku — ostatecznym. Tym samym kursem wędruję po dziś dzień, choć zdarzały się chmury i burze, a nawet trzęsienia ziemi i zaćmienia słońca”²².

Rzekoma idylla nie trwała jednak długo. Gdy w połowie 1942 roku front zaczął się zbliżać, Przymanowski ewakuował się w kierunku dawnej granicy polsko-radzieckiej na Zbruczu. Ukraińską ludność zapamiętał jako życzliwą, serdeczną. Przesiadł się na kolej, a w Kijowie na statek „Tretij Internacjonal”, którym popłynął w dół rzeki. Przez miesiąc Przymanowski pracował jako technik normowania przy budowie pieców martenowskich w Dnieprodzierżyńsku, choć jego towarzysze podróży pojechali dalej. We wrześniu musiał więc ewakuować się na północny Kaukaz, gdzie znalazł zatrudnienie w stacji Karmalinówka w kołchozie Czapajewa i w sowchozie Kamienobrodzkim jako traktorzystą.

„Jesienią i zimą — opowiadał — dorabiałem po nocach jako «objezdczyk». Siodłałem sympatyczną klacz o imieniu Kareńka i wędrując po stepie, pilnowałem, by nie podkradano słomy ze stogów. Gdyśmy oboje byli zmęczeni i senni, ucinaliśmy sobie drzemkę na zawietrznej. Nawet przy parostopniowym mrozie koński brzuch grzeje jak kaloryfer. Uczyłem się coraz to nowszych zawodów i co ważniejsze — życia. W brygadzie było mi łatwiej niż innym — czyszczono i smarowano mój traktor, bym mógł podczas posiłków opowiadać filmy i książki. Nazywano mnie «Wańka raskaczcyk»”²³.

Gdy Niemcy przerwali front pod Rostowem i rozpoczęli marsz na Kaukaz, Przymanowski tym razem nie



Fot. 10. Zakłady metalurgiczne w Dnieprodzierżyńsku na przelomie XIX i XX wieku

zdołał już uciec (podobno dlatego, że bardziej interesował go los traktorów niż własny). W ostatniej chwili udało mu się zniszczyć komsomolską legitymację, dzięki czemu ocalał życie. Kilka lat po wojnie przedstawił wersję, według której, gdy wyszedł z lasu, dostał się w ręce Węgrów czy Rumunów, którzy odebrali mu buty, gdzie przechowywał legitymację Komsomołu²⁴. Z tego musiał się jednak tłumaczyć w czasach PRL, gdyż jego zachowanie uznano za niegodne komunisty.

I zapewne dlatego nie mógł dołączyć do Armii Andersa, gdzie potraktowano by go jak zdrajcę, tym bardziej że był nie tylko komsomolcem, lecz także przewodniczącym miejscowego oddziału Osoawichimu, który — według różnych źródeł — zrzeszał od sześciu do dwudziestu

milionów członków. Stowarzyszenie to organizowało pokazy lotnicze, kursy pilotażu, imprezy masowe związane z lotnictwem, obronę przeciwlotniczą. Z czasem organizacja została w znacznej mierze zmilitaryzowana, a w zakres jej czynności weszło także organizowanie szkoleń przedpoborowych i rezerwistów²⁵.

„Tuż przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej — chwalił się nawet cztery dekady po wojnie — byłem przewodniczącym Osoawiachimu — organizacji paramilitarnej. Wiedziałem przecież, że o Polskę trzeba będzie się bić. Po doświadczeniach 1939 roku zorganizowałem na początku czerwca służbę obserwacyjno-meldunkową. Wnieśliśmy worki z piachem na balkonik wysokiego triangułu. Kazano nam zdjąć, by «nie wywołać nieuzasadnionej paniki». Wtaszczyliśmy je sobotnią nocą z powrotem. O świcie w niedzielę były na wierzchu i dzięki nim obserwator, który nadawał sygnał alarmu lotniczego dla kopalni, zachował życie. Pociski karabinów maszynowych myśliwca popruły worki”²⁶.

Ostatni akt cywilnego życia Przymanowskiego rozegrał się już pod okupacją niemiecką w kołchozie Put’ Iljicza w stancyi Nikołajewka, gdzie pracował do stycznia 1943 roku.

Spis treści

Wstęp	7
Rozdział I. „Wańka raskazczyk”	22
Rozdział II. „Rekrut Żyrafa”	45
Rozdział III. „Pióro czy skrzydła”?	68
Rozdział IV. „Gdyby urodził się wcześniej, byłby Wieniawą”	99
Rozdział V. „Załoga «Rudego» jest niemal autentyczna”	131
Rozdział VI. „9 maja — dzień zwycięstwa... Czterech pancernych i psa”	147
Rozdział VII. „Seta, seta i na słońce”	180
Rozdział VIII. „Mebel socjologiczny”	209
Rozdział IX. „Ty szajbisto jeden i waryjacie nieskończony”	244
Rozdział X. „Anglik w koloniach, czyli literat na prowincji”	273
Rozdział XI. „Panowie, ja jestem psem, a nie świnią”	303
Rozdział XII. „Ma skłonność do groszoróbstwa”	329
Rozdział XIII. „Dźwięki kontrolowane”	366
Rozdział XIV. „Siekiera, motyka, siwe włoski, w Sejmie szczeka Przymanowski”	404
Rozdział XV. „Trędowata kochanka Mikołajczyka”	436
Rozdział XVI. „O! Idzie POHUCZNICA Bystrzycka!”	465
Rozdział XVII. „Powrócimy wierni”	493
Od autora	520
Przypisy	522
Wykaz ilustracji	545
Bibliografia	553

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68101-98-0

„Harcerz, więzień, kamieniarz, robotnik, traktorzysta, komsomolec, żołnierz Armii Czerwonej, oficer polityczny Ludowego Wojska Polskiego, korespondent wojenny, dziennikarz, aktywista Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, student, literat, parlamentarzysta, kombatan, mąż, ojciec... Janusz Przymanowski, scenarzysta bodaj najpopularniejszego, mocno zafatszowanego historycznie serialu w dziejach Telewizji Polskiej, miał wiele twarzy. Wszystkie skrupulatnie odśladania Jarosław Molenda, autor tej wyczerpującej biografii”.

Tomasz Zbigniew Zapert

Czy jest choć jeden dorosły Polak, który nie widziałby serialu „Czterej pancerni i pies”? Ten popularny cykl zatrzymywał przed ekranami wiele pokoleń, a jego popularność trwa do dzisiaj. Sama książka Janusza Przymanowskiego to także zjawisko, i to nie tylko w sensie literackim, ale socjologicznym i kulturowym. Skąd sukces opowieści, w której można znaleźć sporo naiwności, wręcz komiksowych uproszczeń? I czy sam pisarz był wzorem do naśladowania? W latach pięćdziesiątych podejrzewany o współpracę z obcym wywiadem, naczelnny krytyk obecności Rosjan w wojsku polskim, potem apologeta stanu wojennego i bojownik... przeciwko nadmiernej wycince drzew. Prywatnie mąż byłej kochanki Stanisława Mikołajczyka, ale przede wszystkim „ojciec” czterech pancernych. Oto historia człowieka, który stworzył jeden z najtrwalszych fenomenów kulturowych XX wieku.



Jarosław Molenda – pisarz, publicysta, niestrudzony globtroter. Jest autorem prawie sześćdziesięciu książek biograficznych, historycznych i szeroko pojętej literatury faktu. W 2015 roku został odznaczony przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Srebrnym Krzyżem Zasługi za upowszechnianie kultury i propagowanie historii. W 2016 roku Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznał mu odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

ISBN: 978-83-68101-98-0



cena:
72,99 zł
(w tym
5% VAT)